

Gdy miał zadzwonić, zawahał się jeszcze.

— Kto inny skorzystałby z tego położenia... a ja od tygodnia ani kroku nigdzie nie wyszedłem!... Z kredytem którym rozporządzam, mógłbym poznać wielkie życie Paryża!...

Ale przerwał i schylając głowę ze smutkiem i zniechęceniem, rzekł:

— Ale na co?

I zadzwonił.

Baron, gdy mu zaanonsowano jego nazwisko, kazał po rościć, aby chwilę zaczekał. Właśnie był zajęty z hrabią d'Abazoli-Viscoza. Zupełnie zdecydował się na proponowaną pożyczkę, jeżeli klejnoty maharadży miały wartość taką, jak mówiono. Co do hrabiego, miał reputację uczciwego człowieka, bardzo oddanego księciu hinduskiemu. Przy pomocy przyjaciół zebrał żądanych 15 milionów.

Umawiał się z hrabią ostatecznie.

Pojutrze, koło trzeciej godziny będę u pana — mówił, kończąc z nim rozmowę — a tymczasem może pan przeczyta punkta umowy — i podał mu papier.

— Bardzo dobrze... Prosiłbym tylko, aby pan kazał z niej zrobić trzy odpisy — jeden dla pana, jeden dla jego wysokości, a jeden zachować sobie w moim archiwum jako ważny dokument.

A kiedy baron zapisywał to polecenie dla sekretarza, dorzucił hrabię.

I Klejnoty będą do pańskiej dyspozycji. Czy pan ma zamiar zabrać je zaraz?

— Przecież tak umówiliśmy się — rzekł szybko baron.

— Jak tylko zamienimy podpisy nasze, będziesz je pan miał do dyspozycji. Mówię to na wypadek, gdyby je pan polecił zabrać swemu zaufanemu człowiekowi.

— Wykonania tego nie powierzę nikomu, zabiorę je ze sobą w małej walizce...

I nie obawia się pan, żeby...

— Jestem przywykły do podobnego postępowania — czyż mam zwracać uwagę zbyteczną ostrożnością? Są złoczyńcy, którzy zawsze czyhają na podobną sposobność. Czyż nie obudziliby się w nich podejrzenie. Patrzcie... patrzcie... Baron Plücker ma z łatwiać jakiś ważny interes... trzeba uważać? Zabiorę ze sobą zwykłą walizkę, wsiądę z nią do fiakra, jakbym chciał zrobić małą wycieczkę.

— Może chciałby pan, aby mój służący towarzyszył mu na koźle?

— Zbyteczne! Wychodząc od pana udam się prosto do banku francuskiego, gdzie natychmiast złożę klejnoty w mej kasie depozytowej, tak że nikt nie będzie wiedział, iż baron Plücker przeszedł Paryż mając przy sobie 50 milionów.

— Istotnie Pan ma słusność — rzekł hrabia... proszę mi wierzyć, że z powodu iż u siebie mam taki majątek nie mogę często spać! Och! co bym zrobił aby o tem nie wiedziano, ale czy można cośkolwiek ukryć przed tem argusowem okiem jakim jest Paryż; można nawet powiedzieć, że mury mają uszy.

Podniósł się.

— A więc do pojutrze zatem... a zniżając głos rzekł: — Co do mego wynagrodzenia myślałem, że gdyby to Panu było wygodniej, zgodzę się chętnie i na czek.

— Nie, nie odparł baron udrzając go z lekka po ramię — co już umówione to umówione.

A wyprowadzając go przeszedł z nim przez salon, w którym Lucyan Delorme czekał cierpliwie, aby być przyjętym, podziwiając tymczasem porzucane po ścianach wspaniałe gobeliny, z których Jowisz uprowadzający Europę był przez znawców ocenionym za najpiękniejszy. Chodząc się lepiej przypatrzyć tym wspaniałościom podsunął na czoło swe nieodstępne okulary, gdy nagle drzwi się otworzyły i dwóch mężczyzn ukazało się. Zajęci rozmową przeszli olbrzymi salon i nie zauważyli w kącie młodego człowieka, który machinalnie skierował na nich swój wzrok.

Nagle zadrżał, zdawał się zbierać całą uwagę i nie odwrócił od nich oczu, aż zniknęli.

Potem przesuwając nerwowo ręką po czole wyszeptał:

— To niemożliwie!

Ale w tej chwili baron podszedł ku niemu:

— Ach! Pan Delorme zawołał uprzejmie, jakże się cieszę, że widzę Pana.

A prowadząc go do swego gabinetu — zapytał:

— Czy nie odkrył pan coś ciekawego?

— Być może! — odpowiedział powoli młody człowiek.

— Czy tak?

— Proszę nie pytać mnie Pan jeszcze — tylko pozwól zadać sobie kilka pytań.

A gdy baron przyzwolił — zapytał:

— Kto był ten mężczyzna, którego pan wyprowadzał?

Baron spojrzał na niego trochę zdziwiony.

— Hrabia d'Abazoli Viscoza — odpowiedział.

— Czy to jeden z pańskich przyjaciół?

— Nie, zastępca księcia hinduskiego, z którym mam interesa.

I w kilku słowach szybko powiadomił go o zamierzonej pożyczce i o spotkaniu z hrabią, naznaczonym na pojutrze.

— Czy pan wie coś niekorzystnego o jego osobie?

— Pierwszy raz słyszę o nim. — Istnieje tylko stare przysłowie, które stwierdza, że nie wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, zatem trzeba nie zaniedbywać niczego, co by nas mogło naprowadzić na właściwą drogę. Zresztą w krótkim czasie dostarczę Panu wiadomości, dlatego tu dziś przyszedłem, aby o temawiadomić pana.

A schodząc ze schodów mówił do siebie:

— Przypadek... czysty przypadek... słusznie starożytni o tem mówili... kto byłby odgadł, że udając się do barona z zamiarem wyrzeczenia się wyszkania morderców z avenue Mozarta wyjdę pełen nadziei.

## ROZDZIAŁ V.

### Banda A.

Hrabia d'Abazoli Viscoza miał słusność twierdząc, że Paryż o wszystkim był powiadomiony. Istotnie nie było nikogo, kto by nie wiedział, że miał w posiadaniu skarby maharadży Pandhikurrach.

W salonach najwyższego towarzystwa gdzie był przyjmowany, sława, że przechowywał u siebie klejnoty wartości pięćdziesięciu milionów, otaczała go aureolą, jako osobę znaczną — zwracano więc uwagę na tego ładnego i tak znakomitego chłopca.

Zmęczony zręcznym usuwaniem się od zadawanych mu pytań z tego powodu, prosił w końcu, aby nie wspomniano bogactw godnych powieści Wschodu, ale najciekawszym nie odmałwiał wcale oglądania szkatuły w której były zamknięte. Była to kasa okuta stalą, wysoka blisko na 2 metry i opatrzona licznymi zamkami niedającymi się otwierać wytrychami.

To też hrabia mógł spać spokojnie nieobawiając się złodziei.

Ale gdy go proszono, aby tylko na chwilę pokazał te sławne klejnoty, wymawiał się od tego, mówiąc, że związany słowem i musi go dotrzymać.

— Są tylko dwie osoby — odpowiadał, które znają tajemnicę kasy, Jego Wysokość i ja. Jakże pragnąłbym zadość uczynić waszym żądaniom, ale pojmujecie, że to niemożliwe, bez formalnego pozwolenia.

Tak mówić mógł tylko uczciwy człowiek, i zbytecznem było nalegać.

Nie tylko najwyższe towarzystwo zainteresowała ta olbrzymia fortuna, ale także obudziła chciwość w świecie złodziejskim.

Nie jeden z nich próbował dostać się do nich, ale najzręczniejszym i najodważniejszym nie udawało się. Kasa pozostała nienaruszoną, bo w pokoju, w którym się znajdowała, sypiał co nocy służący hindus, i ten zawsze spłoszył złoczyńców.

Powoli więc rozeszła się wiść między złodziejami, że tą drogą nie można dostać się do klejnotów maharadży, tak dobrze strzeżonych.

Nie wszyscy jednak wyrzekli się zdobycia tego pięknego łupu i nie jeden z nich z nieustraszoną cierpliwością wyglądali odpowiedniej chwili, aby zdobyć cośkolwiek.

W liczbie ich była banda A. Co oznaczało to przezwisko? Czy byli to apasze z jakich odległych stron? — trudno byłoby odgadnąć. To tylko było prawdą, że trzech złoczyńcy, którzy połączyli się razem, aby rabować mienie drugich, zauważyli, że dzielnym zbiegiem, imiona ich zaczynały się na pierwszą literę alfabetu.

Od tego dnia nazywali się A.

Zresztą nie byli to pospolici kryminaliści, którzy czatują na zapóźnionych przechodniów, ich pragnienia były wyższe, zajmowali się tylko

operacjami pewnymi a zyskownymi, które nosiły znamiona ich mistrzowskiej ręki.

Nie zapomniano jeszcze ograbienie magazynu jubilerskiego na bulwarze Sebastopol, do którego dostano się przez piwnicę, zrobiwszy dziurę w suficie i oddalono się z łupem tak, że kupiec mieszkający obok nic nie słyszał. Rozsądzenie dynamitem kasy Banku turecko-włoskiego, strzeżonego tak silnie. Okradzenie skarbcza katedry Caen, dokonane w biały dzień przez zamaskowanych bandytów w samochodzie, tak że nikt tego nie zauważył.

Wszystkie te i wiele innych grabieży, mniej lub więcej zuchwałych było dziełem bandy A.

Zresztą ci trzej mężczyźni znakomicie uzupełniali się, łącząc w sobie niezbędne przymioty potrzebne do tak niebezpiecznego rzemiosła, jakim się trudnili — jeden oddawał towarzystwu siłę — drugi zręczność a trzeci przebiegłość.

Pierwszy Alfons, dawniejszy siłacz, był kolosem zdolnym jednym uderzeniem wywarzyć drzwi najmocniejsze, zgiąć w palcach sztabę żelazną jak żdźbło słomy, stawić czoło czterem mężczyznom napadającym.

Drugi August, niegdyś ślusarz, o niezwykłej zręczności, posiadał tysiączne sposoby dla zmylenia czujności, z łatwością dostawał się do miejsc najściślej bronionych, robił narzędzia potrzebne do otwierania zamków najbardziej skomplikowanych.

Trzeci Anatol był małym, delikatnym o rysach miłych, o wyglądzie młodocianym z powodu twarzy niezarosłej. Specjalnością jego było przebierać się za kobietę, czynił to tak zręcznie i z tak doskonałą naturalnością, że nie możliwem było tego się domyśleć. W hotelach, kasynach, miejscach, gdzie dostęp był łatwym, występy jego były szczególnie cenne. Bawiąc się wachlarzem, słuchał co obok niego mówiono i w ten sposób korzystał z zebranych wskazówek. Wykształcony, dobrze ułożony o manierach dystyngowanych, mówiąc znakomicie po angielsku, przybrał nazwisko Lady Dufferton, której mąż był oficerem armii w Indjach i właścicielem ziemskim w Szkocji. To mu ułatwiał wyjeżdżanie bez zwrócenia uwagi, gdy operacja była ukończoną, a ukazywała się gdzieindziej.

Nikt nigdy nie byłby podejrzewał tej czarującej kobiety, że była współniczką złoczyńców, którzy w nocy ograbili mieszkanie bogatego właściciela pałacu lub spłądowali sąsiednią willę kiedy mieszkańcy jej byli w kasynie. Nadto znakomicie potrafił pozyskiwać się klejnotów zrabowanych, które mu powierzano.

Każdy z nich zatem miał wyznaczoną rolę w bandzie i nie było dziwnem, że z organizacją tak znakomitą, istniała i nie dała się ująć.

Zaomocą Anatoła, w niedługim czasie dowiedzieli się o istnieniu klejnotów maharadży i od tej chwili całą uwagę zwrócili w tę stronę.

Ale jak zwalczyć trudności prawie nie do pokonania, jak dostać się do tego magicznego skarbu?

Nie było dnia, aby tej w kwestyi nie roztrząsali i nie robili nowych projektów.

Pewnego razu, udało się Anatolowi, w przebraniu lady Dufferton, znaleźć między zaproszonymi, którym hrabia pokazywał sławną kasę. Odniósł wtedy przekonanie, że zadanie było nie do wykonania.

— Sądzę mówił kończąc, że gdyby jakimkolwiek sposobem, udało nam się pozbyć tego hindusa śpiącego obok kasy — jakim sposobem otworzymy ją? Rozbić jej liczne zamki to praca nadludzka, na którą nie starczy jednej nocy.

August, który słuchał od kilku minut — zapytał nagle gdzie jest umieszczona?

— W gabinecie hrabiego — jest to ostatni pokój frontowy na końcu galerii... dwa okna... cztery metry na pięćdziesiąt pięć — dorzucił.

— Dotyka zatem sąsiedniego domu?

— Tak.

— I tej samej konstrukcji... zresztą nawet tego samego architekta... zauważyłem to przypadkowo patrząc na numera...

— Dobrze.

Zamyślił się chwilę i zapytał jeszcze:

— Do której strony muru przysunięta jest kasa?

— Do muru dzielącego sąsiednie mieszkanie...

— W którym kącie?

Anatol skupił uwagę.

— Po lewej stronie wchodząc... to znaczy w głębi pokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi).